(ciąg dalszy ze strony 8)

dwóch największych chyba wyzwaniach – coraz bardziej przeradza się w prosty antyamerykanizm.

– Nie jestem pewien, czy ktokolwiek – bez względu na to, czy wierzy w wojnę czy pokój – znalazł dobre rozwiązanie na szalejący totalitaryzm. W erze nuklearnej nie można go pokonać poprzez wojnę, jak uczyniono to z Hitlerem. W przypadku Związku Radzieckiego to upływ czasu i pokojowe działanie prowadzone między innymi przez ludzi, których pan wspomniał, rozłożyły to mocarstwo. A co do Tybetu, to starania jego przywódcy, Dalajlamy – który jest i pacyfistą, i bojownikiem o wolność – cieszą się gorącym poparciem ruchu pokojowego.

Rzeczywiście – ten ruch koncentruje się obecnie na Ameryce, ale dlatego, że tylko ona posiada środki do przypuszczania prewencyjnych ataków w każdym punkcie globu lub przypisuje sobie takie prawo. Jest wiele reżimów – łącznie z Chinami i Rosją – które są nieporównanie bardziej brutalne i represyjne niż Ameryka – ta wszak pozostaje demokracją konstytucyjną. Są one jednak relatywnie słabe i dlatego przywiązuje się do nich mniejszą troskę.

Choć zgodziłbym się, że przerażające ataki Rosjan na naród czeczeński nie przyciągają takiej uwagi, na jaką zasługują – ani ze strony ruchu pokojowego, ani rządów. To administracja Busha nazwała rosyjską kampanię częścią „wojny z terroryzmem".

Utopia i pakt globalny

– Według pacyfistycznego sposobu myślenia o ładzie międzynarodowym, najważniejsze sprawy powinny być rozwiązywane w oparciu o ponadnarodowe organizacje i porozumienia. To chyba nieco utopijna wizja? Może rację mają ci, którzy twierdzą, że działanie (np. ograniczone użycie siły w celu rozbrojenia Iraku i zapewnienia warunków dla pokoju w regionie) jest niekiedy lepsze od bierności?

– Stale wspomina pan „pacyfistów", więc proszę mi pozwolić powiedzieć coś na temat pacyfizmu. Tak naprawdę w amerykańskim ruchu pokojowym niewiele osób określa się jako pacyfiści. Większość stanowią katolicy, zwolennicy amerykańskiej pacyfistycznej świętej Dorothy Day [założycielki pisma „Catholic Worker" – red.]. Ich życiowym mottem jest Jezusowe „Odłóż swój miecz". Wielu praktykuje cywilne nieposłuszeństwo – np. sprzeciw wobec amerykańskiej polityki nuklearnej – i płaci za to cenę. Bardzo ich poważam.

Mimo to sam nie jestem pacyfistą. Problemem dla mnie nie jest źródło słowa „pax" – solidna podstawa dla najbardziej aktywnego działania – ale sufiks „ist", który sugeruje, że jedna zasada może mieć zastosowanie we wszystkich sytuacjach. Potrafię sobie wyobrazić wyjątkowe warunki – np. trwające ludobójstwo – w których byłbym zwolennikiem użycia siły lub sam bym jej użył. Ale takie sytuacje powinny być marginalne. Przeważnie środki pokojowe są lepsze. To właśnie działanie bez przemocy – czy to na szczeblu rewolucji (tu musimy opowiadać się raczej za Havlowskim „życiem w prawdzie" niż palestyńskim wysadzaniem pizzerii w powietrze), czy rządów obywatelskich (raczej demokracja niż totalitaryzm), czy też spraw międzynarodowych (zgodne międzynarodowe działanie, a nie unilateralne użycie siły) – musi być, w dobie dostępu do broni masowego rażenia, naszą ostoją i tarczą. Dziś droga siły jest drogą do unicestwienia. Bo sednem dylematu, postawionego przez wojnę w Iraku, jest kwestia broni masowego rażenia.

Plakaty propagandowe pacyfistów: „świat w czarno-białych barwach".

– No właśnie, jak sam Pan stwierdził, administracja Busha ruszała na wojnę nie po to, by zaprowadzić w Iraku demokrację, lecz by zlikwidować iracką broń.

– Innymi słowy: wojny by nie było, gdyby Saddam zadowolił się torturowaniem swojego narodu i oddał nielegalną broń?

Broń masowego rażenia to problem, o którym świat przez ostatnie stulecie wolał nie myśleć. Przypomnijmy sobie jednak, z czym się zmagamy. W przypadku broni nuklearnej obowiązuje praktyczna zasada: jedno miasto, jedna bomba – każde miejsce na ziemi może być unicestwione przez pojedynczą bombę o odpowiedniej mocy. Przy okazji – amerykańska łódź podwodna Trident może przenosić 192 pociski nuklearne. To okręt, który może zniszczyć cały kontynent. Ale Trident nie jest niezbędny, by dostarczyć gdzieś bombę atomową – wystarczy statek kontenerowy albo supertankowiec. Może go użyć małe państwo, może też ugrupowanie terrorystyczne.

Czy nie powinniśmy zatem zaostrzyć wojny z terrorem i rozciągnąć ją na wszystkie „państwa bandyckie", jak chce prezydent Bush? Niestety, narzędzie, jakie wybrał – wojna – jest beznadziejnie źle dopasowane do celów, które chce osiągnąć. Najwybitniejsi ludzie zrozumieli to dawno. Niels Bohr, którego badania umożliwiły rozbicie atomu, pisał w 1945 r. o zagrożeniu nuklearnym, że „dano nam do ręki problem, którego nie można rozwiązać przy pomocy wojny". Powód wyartykułował Albert Einstein: „Podstawowa siła wszechświata nie może być dopasowana do nieaktualnej koncepcji wąsko rozumianych nacjonalizmów. Bo nie ma już tajemnicy ani obrony – nie ma innej możliwości kontroli broni atomowej jak przez powszechne zrozumienie i upór narodów świata". Rozprzestrzenianie broni nuklearnej, które trzeba pojmować jako globalny stan wyjątkowy, ani dziś, ani w przyszłości nie może być powstrzymane na drodze militarnej. Przeciwnie – siła może tylko pogorszyć sprawę.

– Amerykańska polityka zagraniczna pod przewodnictwem Busha, Rumsfelda i Powella jest zatem skazana na porażkę?

– Nie potrzebujemy zastanawiać się, czy ta polityka zawiedzie – ona już zawiodła! Zawiodła, kiedy Korea Północna ogłosiła wznowienie prac nad wzbogacaniem uranu, by zbudować bombę i zasugerowała, że już dysponuje kilkoma pociskami – w co akurat wierzy nasz rząd. Zawiodła ponownie, kiedy Iran obwieścił, że posiada podobny program. Atakując Irak, Bush chciał dać tym krajom – dwóm pozostałym członkom jego „osi zła" – lekcję: jeśli będziecie dalej próbowali pozyskać broń masowego rażenia, możemy was zaatakować i obalić. Ale przywódcy Iranu i Korei zrozumieli tę lekcję po swojemu: jako że nie chcemy być obaleni, lepiej postarajmy się o tę broń i to szybko. Na marginesie: to Pakistan, wierny sojusznik USA, dostarczył Korei niezbędne plany i technologię. Czy przeprowadzimy „zmianę reżimu" także w Pakistanie?

W dziedzinie broni masowego rażenia nic, czego uda się dokonać teraz w Iraku nawet dzięki całkowitemu zwycięstwu, nie zrekompensuje wzrostu zagrożenia nuklearnego, który ta wojna już wywołała. Bo czym jest proliferacja? To nie dywizja czołgów na pustyni. To przede wszystkim informacja przekazywana przez jeden umysł drugiemu – być może przez internet. Nie można zatrzymać jej siłą – ogień z dział maszynowych nie może wzbudzić niczego poza obłokiem dymu. Prawdopodobnie istnieje na świecie 50-60 krajów, które, jeśli zdecydują się na produkcję pocisków nuklearnych, mogą liczyć na sukces. Znowu: czy najlepszym sposobem na ich potraktowanie jest „zmiana reżimu"?

Odpowiedzią powinien być rodzaj międzynarodowego porozumienia, o którym pan wspomniał. Na przykład teraz 182 kraje, które przystąpiły do traktatu o nierozprzestrzenianiu broni nuklearnej, zgadzają się działać bez pocisków nuklearnych. To wielkie osiągnięcie. Wolna od broni atomowej jest cała Ameryka Południowa, choć przecież Brazylia i Argentyna prowadziły kiedyś aktywne programy nuklearne. Międzynarodowe porozumienia są nie tylko najlepszym sposobem na uwolnienie nas od niebezpieczeństwa stwarzanego przez broń masowego rażenia – one są jedynym sposobem.

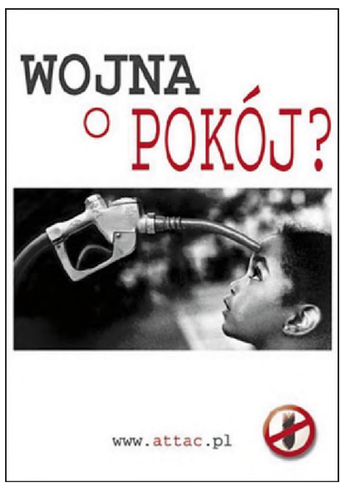

– A co, jeśli jakiś kraj – przedtem Irak, teraz Korea Północna – wyłamuje się z zawartej umowy i zaczyna stwarzać zagrożenie dla innych?

– Wyzwanie jest rzeczywiście ogromne. Przede wszystkim ceną zapanowania nad proliferacją musi być wyrzeczenie się posiadanej broni przez już istniejące potęgi nuklearne. Indie, ogłaszając się taką potęgą, przyznały, że wyłamały się z „nuklearnego apartheidu". Inne kraje mogą uczynić to samo - nie można ich wszystkich powstrzymać siłą. Tylko jedna norma, oparta na zgodzie wszystkich państw, by żyć w świecie pozbawionym broni masowego rażenia, daje praktyczną gwarancję bezpieczeństwa. Jego ceną jest oddanie swojej broni.

Takie wyjście niezwykle wzmocniłoby siłę społeczności międzynarodowej w zmaganiach z tymi, którzy lekceważą umowy. Dziś przywódca pokroju Saddama może używać jednych przeciw drugim, jak stało się to w Radzie Bezpieczeństwa NZ. Gdyby wszyscy byli zjednoczeni i gotowi sami u siebie rozwiązać sprawę nuklearną, stworzyliby nieugiętą opozycję wobec każdego, kto próbowałby pogwałcić globalny pakt. W takim przypadku sam wsparłbym użycie siły – podjęte przez całą społeczność międzynarodową, nie tylko jeden kraj – by rozbroić tych niesfornych.

Rozmawiał Mateusz Flak

Dlaczego Moskwa nie wyruszyła na wojnę z Husajnem?

Zdrowy rozsądek Putina

Grzegorz Przebinda

■ Wojna w Iraku nie zmieniła polityki Rosji wobec USA. Niesłusznie pisano o „zakręcie Putina" i końcu dwutorowej taktyki, w której Kreml najpierw krytykuje Waszyngton, by później opowiedzieć się za współpracą. Tymczasem strategia Moskwy była racjonalna: starała się nie dopuścić do rozpoczęcia inwazji, a nazajutrz po niej zaczęła protestować. Nigdy jednak nie rozważała zerwania zapoczątkowanego po 11 września 2001 r. partnerstwa z Ameryką.

By zrozumieć negatywną postawę Rosji wobec wojny, trzeba też analizować opinie prezydentów, rządów i parlamentów wszystkich państw Europy i Azji, które sprzeciwiały się amerykańskiej interwencji.

Cztery „państwa atomowe" i GUUAM

Także i tutaj widać było wyraźnie, że stosunek do wojny państw takich jak Chiny, Indie i Pakistan był jednoznacznie negatywny. Różnił się tylko szczegółami i żywiołowością protestu. Czyżby więc antywojenna postawa Indii i Pakistanu dowodziła, że na subkontynencie indyjskim został wreszcie uczyniony pierwszy krok ku zgodzie dwóch wrogich dotąd państw i religii? A czy podobne stanowisko Chin i Rosji miałoby z kolei dowodzić, że tworzy się na naszych oczach drugi biegun porządku światowego – oś chińsko-rosyjska, skierowana przeciw Ameryce?

Nic z tych rzeczy. Każdy z wymienionych krajów posiada swe własne interesy geopolityczne i starał się je choćby częściowo zrealizować przy okazji wojny na Bliskim Wschodzie. Pakistan, jako kraj muzułmański zawsze będzie sojusznikiem państw Ligi Arabskiej, choćby jego rząd był proamerykański. Indie z kolei, choć same walczą u siebie z islamskim ekstremizmem, zwróciły od razu uwagę na „nielegalność interwencji" z punktu widzenia prawa międzynarodowego. Bały się one także, co naturalne, kaszmirskich fundamentalistów.

Na tę samą „nielegalność" amerykańskiej operacji zwróciły uwagę Rosja oraz Chiny, które – trzeba to podkreślić – zaprotestowały najszybciej. W postawie Pekinu odzwierciedliły się dwie obawy: lęk przed wzmocnieniem potęgi gospodarczej USA oraz strach, czy wojna nie przeniesie się w przyszłości do Korei Północnej. Tym ostatnim „faktem potencjalnym" martwią się jeszcze Indie, Pakistan i przede wszystkim Moskwa.

Federacja Rosyjska boi się także, aby USA nie zaatakowały Iranu – wtedy bowiem bezpowrotnie rozwiałyby się złudzenia Putina, co do utworzenia osi RAI (Rosja, Armenia, Iran), która miałaby stanowić przeciwwagę dla proamerykańskiej osi GUUAM (Gruzja, Ukraina i Uzbekistan, Azerbejdżan i Mołdawia). Trzeba jednak powiedzieć, że w czasie, gdy ta pierwsza oś jeszcze przed wojną miała charakter teoretyczny i nigdy nie wykroczyła poza gabinety polityków, druga – mniej więcej od dekady – jest faktem. Jej realność została ostatnio wzmocniona szybkim zdobyciem Bagdadu przez wojska amerykańskie.

Zakręty czy kontynuacja?

Ulegaliśmy ostatnio w Polsce złudnemu skróceniu perspektywy na temat postawy Rosji wobec wojny z Irakiem. 27 marca, dzień po słynnej wypowiedzi rosyjskiego ministra spraw zagranicznych Igora Iwanowa, który oświadczył w Radzie Federacji, iż „Amerykanie pragną totalnie zniszczyć Irak", a „Rosja będzie się domagać w ONZ natychmiastowego zakończenia wojny", nasze największe gazety ogłosiły: mamy do czynienia z „zakrętem Putina". To jest ewidentna „zmiana polityki rosyjskiej wobec USA" (Wacław Radziwinowicz w „GW"). Mówiono o „antyamerykańskiej gorączce w Moskwie" i o tym, że w Rosji po raz pierwszy użyto słowa „agresja" wobec interwencji USA w Iraku (Sławomir Popowski w „Rzeczpospolitej"). Bo i rzeczywiście, państwowa telewizja rosyjska – zgoła inaczej niż w pierwszych dniach wojny – informowała o wydarzeniach w Iraku w duchu retoryki „antyimperialistycznej". ORT, która jeszcze niedawno pokazywała na żywo wręczanie Oscarów w Hollywood, teraz uderzyła w tony antyamerykańskie. Także telewizja RTR mówiła z oburzeniem o „koalicji okupantów", pokazując z satysfakcją antywojenne wystąpienia laureatów Oscarów (tak samo postępowały prywatne stacje niemieckie i francuskie).

Fot. KNA-Bild

Koalicja przegranych wojny w Iraku: Schröder, Putin i Chirac; Petersburg, 11 kwietnia

Czy jednak te obrazki winny były stać się podstawą przekonania, że Rosja zmieniła front? Czy 26 marca 2003 r. nastąpiła rzeczywiście gruntowna zmiana polityki Putina wobec Ameryki? Niektórzy ogłosili już koniec taktyki dwutorowości, na mocy której Rosja najpierw krytykuje postępowanie USA wobec Iraku, by zaraz potem opowiedzieć się za utrzymaniem partnerstwa z Ameryką. Czy niezbyt twarda mowa Iwanowa mogła być uznana za wstęp do takiej zmiany strategii Rosji? Sądzę, że nie.

W Rosji każde dziecko czuje, że Ameryka jest rywalem i nie wolno walczyć obok niej ramię w ramię. Coraz silniejsze staje się jednak także przekonanie, że nie opłaca się walczyć przeciw Amerykanom.

Ratowanie interesów

Wbrew temu, co pisały rodzime gazety, nie było dwóch taktyk Rosji wobec konfliktu w Iraku. Strategia była jedna, ale za to dynamiczna. Przed wybuchem wojny Rosja starała się nie dopuścić do jej rozpoczęcia, nazajutrz po inwazji zaczęła protestować – tak samo zresztą jak Chiny, Indie, Pakistan, Niemcy, Francja, Belgia, Norwegia, Szwecja, Finlandia – ale nigdy *sieriozno* nie rozważała zerwania partnerstwa z Ameryką, zapoczątkowanego po 11 września 2001 r.

Zaraz po „fatalnej wypowiedzi" Iwanowa Moskwa rozpoczęła kampanię o zabezpieczenie swych interesów w Iraku po wojnie. Co jeszcze można było wtedy ratować z punktu widzenia interesów Kremla? Raczej niewiele. Przypomnijmy, że Saddam był winien Moskwie osiem miliardów dolarów. Bezpowrotnie przepadły maszyny i technika oraz biura rosyjskich przedstawicielstw. Nie będzie też dla Moskwy zysku z wydobycia ropy naftowej w Iraku – po wojnie ceny tego surowca na rynku światowym spadną, na czym Rosja bardzo straci, gdyż sama sprzedaje ropę w ilościach ponadhurtowych. Zdarzyła się tu, poza wszystkim, historia dość zabawna. Oto rosyjski koncern „Energopromstroj-1" w pierwszych dniach wojny skierował do sądu arbitrażowego Moskwy pozew przeciwko rządowi USA. „Wielki koncern" chciał uzyskać rekompensatę za straty w wysokości 19 mln dolarów, spowodowane wybuchem wojny w Iraku.

W Polsce słychać było głosy, że gdyby Rosja przyłączyła się do Ameryki, mogłaby odnieść zyski z tej wojny. Jednakże takie „przyłączenie" było, jest i nadal będzie z gruntu niemożliwe – z przyczyn historyczno-geopolitycznych. W Rosji każde dziecko podświadomie czuje, że Ameryka jest rywalem i nie wolno walczyć obok niej ramię w ramię. Taka świadomość będzie istnieć przynajmniej do końca pierwszej dekady XXI w. Zarazem ciekawe i optymistyczne jest to, że coraz silniejsze staje się też w Federacji Rosyjskiej przekonanie, iż nie opłaca się dziś walczyć przeciwko Amerykanom.

To prawda, że sporo Rosjan średniego pokolenia posiada antyamerykańską mentalność Giennadija Ziuganowa, szefa Komunistycznej Partii Rosji, którego zdaniem każda militarna akcja USA stanowi naruszenie rosyjskich interesów. Ta mentalność nie jest obca Putinowi. Gdyby więc wojna się przedłużała, do głosu dochodziliby właśnie ziuganowowcy. Być może nawet tacy ludzie, jak Siergiej Karaganow, przewodniczący rady Polityki Zagranicznej i Obronnej FR, który wyraził nadzieję, iż USA zapadną się na długo w pustynie Iraku. To byłby, jego zdaniem, dobry wstęp do odbudowy „ojczystego kraju" na skalę imperialną.

Na szczęście dziś w Rosji mało kto wierzy w podobne utopie. Federacja Rosyjska po wojnie na Bałkanach i po niepowodzeniach w kampanii czeczeńskiej systematycznie traci złudzenia, co do swej mocarstwowości. Obecnie raczej boi się ona Ameryki, a jest to, dodajmy, obawa połączona z respektem. Takie *iunctim* nie może dziwić, gdyż ani Rosja carów, ani ZSRR sekretarzy generalnych, ani nawet proprezydencka Rosja nigdy nie potrafiły wyrażać respektu inaczej.

Dziś Rosjanie chcą ponownie postawić sprawę Iraku na forum ONZ. Z jednej strony jest to dowód, iż nie posłuchali Władimira Żyrinowskiego, który już w pierwszym dniu wojny ogłosił *urbi et orbi* – upadek ONZ i początek kolejnej wojny światowej. Zwróćmy uwagę na nietypową dla dwudziestowiecznych Rosjan świadomość prawną, która przejawiła się na początku XXI w. w obliczu irackiego konfliktu. Tu warto przywołać słowa Grigorija Jawlińskiego z 20 marca, które i po zdobyciu Bagdadu nie straciły na aktualności: „Trzeba ograniczać liczbę ofiar, dążyć do jak najszybszego zakończenia wojny. Gdy konflikt zostanie zakończony, wtedy sytuacja wróci do norm prawnych. Tak już bywało nieraz po drugiej wojnie światowej i po utworzeniu ONZ. Nasz kraj winien zachować partnerskie stosunki z Europą i USA. (...) Istnieje wiele reżimów dyktatorskich, które dążą do posiadania broni masowej zagłady. Nie wolno za każdym razem rozpoczynać wojny dla ich rozbrojenia". Innymi słowy, trzeba je „obezwładniać" dużo wcześniej, nim taką broń zdołają posiąść.

Partnerstwo nieustające

Wieczorem 2 kwietnia Władimir Putin mówił w Tambowie: „Z przyczyn politycznych i ekonomicznych Rosja nie jest zainteresowana porażką USA w Iraku. Jesteśmy z kolei zainteresowani tym, aby przenieść ten problem na forum ONZ". To dowód zdrowego rozsądku prezydenta Federacji Rosyjskiej, jaki objawił się w jeszcze dobitniej zaraz po zdobyciu Bagdadu. Putin powiedział wtedy m.in.: „Dobrze, iż odsunięto od władzy reżim Saddama Husajna. Zawsze mówiliśmy, że tak właśnie miało być".

Nie wymagajmy na razie od Federacji Rosyjskiej i jej prezydenta większych deklaracji. Rosja nie jest już, na szczęście dla siebie i sąsiadów, potęgą światową, długo jednak pozostanie mocarstwem regionalnym. I nadal będzie odgrywać istotną rolę w kształtowaniu polityki w Azji Średniej, na Kaukazie, w Europie Zachodniej, Środkowej i oczywiście Wschodniej. Świadomość tej „misji", obok aspektu ekonomicznego, była chyba w Rosji najważniejszym czynnikiem kształtującym jej postawę wobec wojny z Irakiem. Dodajmy, że na euroazjatyckim Wschodzie ważnym efektem tej wojny będzie coraz bardziej pełzający i nieuchronny rozkład Wspólnoty Niepodległych Państw.

Na koniec warto podkreślić dla sprawiedliwości, iż w ostatnich tygodniach Federacja Rosyjska i Putin zachowali się w dramatycznej dla świata sytuacji znacznie bardziej racjonalnie aniżeli Francja z Chirakiem i Niemcy ze Schröderem. Moskwa przełamuje teraz swe kompleksy imperialne, podczas gdy rządy Francji i Niemiec nadal pragną budować swój europejski *image* na banalnym antyamerykanizmie.

GRZEGORZ PRZEBINDA jest rusycystą i historykiem idei, profesorem i dyrektorem Instytutu Filologii Wschodniosłowiańskiej UJ. Ostatnio wydał „Między Moskwą a Rzymem. Myśl religijna w Rosji XIX i XX wieku".

POWIERZCHNIA REKLAMOWA